NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do Głosu Wąbrzeskiego

Nr. 34. | Wąbrzeźno, sobota 22 sierpnia 1925. | Rok 2.

Ewangelja

św. Łukasza rozdz. 10, wiersz 23—37.

Onego czasu rzekł Pan Jezus uczniom Swoim: Błogosławione oczy, które widzą to, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wiele proroków i królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli. A oto niektóry w Zakonie powstał, kusząc Go, mówiąc: Nauczycielu, co czyniąc dostąpią żywota wiecznego? A On rzekł do niego: W Zakonie co napisano? jako czytasz? A on odpowiadając, rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego, jako siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział: to czyń, a będziesz żył. A on chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa! A któż jest mój bliźni? A przejąwszy rzecz jego Jezus, rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójce, którzy go złupili i rany mu zadawszy, odeszli, na poły umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i Lewita, będąc podle onego miejsca i widząc go, minął. A Samarytan niektóry jadąc, przyszedł ku niemu i ujrzawszy go, ulitował się. A przystąpiwszy, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina; a włożywszy go na bydlę swoje, wprowadził do gospody i miał pieczę o nim. A nazajutrz, wyjąwszy dwa srebrne grosze, dał gospodarzowi i rzekł: Weźmij go na swą opiekę; a cokolwiek nadto wydasz, gdy ja się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co wpadł między zbójce? A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże i ty czyń podobnie.

Nauka z ewangelji.

Dlaczego nazywa Pan Jezus uczniów Swych błogosławionymi?

Ponieważ doczekali się przyjścia na świat Zbawiciela, widzieli Go własnemi oczyma i słuchać mogli nauk Jego.

Dlaczego chciał kusić biegły w Zakonie Zbawiciela i usprawiedliwić się, kiedy otrzymał odpowiedź od Niego?

Żydowscy uczeni prawa, czyli, jak wyraża się ewangelista, biegli w Zakonie, sprzeczali się w tym czasie z sobą o główny warunek, pod jakim można osiągnąć żywot wieczny. Ów biegły w Zakonie mniemał, że na swe pytanie otrzyma od Jezusa odpowiedź, która sprzeciwiać się będzie zasadzie, jaką stawili w tym względzie bieglejsi w Zakonie i przez to chciał osobę Jezusa podać w podejrzenie. Zamiar więc jego był złośliwy, skierowany przeciw prawu o miłości bliźniego. Jezus wskazuje mu spokojnie na to, co pytający wiedzieć już musiał z prawa. Zbawiciel dał mu do zrozumienia, że pytał się Go nie dlatego, jakoby nie znał prawa, lub pytał z chęci dowiedzenia się, jeno ze złości i podstępu. Ażeby się więc usprawiedliwić, pyta się biegły w Zakonie o rozwiązanie rzeczywistej wątpliwości i o przedmiot sporny, kogo przez ten wyraz „bliźni" rozumieć należy.

Dlaczego Jezus przytacza to opowiadanie o miłosiernym Samarytaninie?

1. Ażeby w przykładzie na pytanie biegłego w Zakonie tem jaśniej i zrozumialej odpowiedzieć. 2. Ażeby mu wyraźnie pokazać, że prawdziwą, choćby tylko przyrodzoną miłość bliźniego, okazać, winniśmy dla każdego pomocy potrzebującego, bez różnicy na osobę. 3. Ażeby uczonemu w prawie zwrócić na to uwagę, że i on winien porzucić swą nieczułość względem Niego (Zbawiciela), własnego współwiercy i okazać Mu miłość, kiedy Samarytanin tak miłosiernym był dla obcego nawet podróżnego. Dlatego mówi Jezus: „Idź i czyń to samo." 4. Ażeby wszystkich wiernych nauczyć, jak należy pełnić przykazanie miłości bliźniego, że każdemu potrzebującemu trzeba pomagać, czy on jest obcy czy znajomy, biedny, czy bogaty, tej samej, lub innej wiary, jest przyjacielem, czy nieprzyjacielem.

Najlepsze wiano.

Zmarły przed kilku laty bogacz w Odesie, który własną pracą i przemysłem doszedł do miljonowego majątku, taki zostawił testament.

„Wszystko co tylko posiadam oddaję na własność czterem moim siostrzenicom do równego podziału. Ale wtedy dopiero, otrzymają należne im części spadkowe, gdy się wykażą, że przez piętnaście miesięcy spełniały obowiązki pokojówek, praczek i kucharek przy większych gospodarstwach. Pracować będą przez 12 godzin dziennie, wyjąwszy niedziele i święta. W tych dniach mają wysłuchać mszy św., nauki i przy-

tąpić do Komunji św. Wykonawcy mej ostatniej woli będą czuwać, aby spadkobierczynie nietylko pracowały, ale wykazały gruntowną znajomość poleconych im obowiązków. Prowadzenie ich ma być moralne i bez zarzutu."

Uszczęśliwione tak wielką fortuną dziewczęta natychmiast wzięły się do spełnienia woli testatora. Po odbytej nauce 863 mężczyzn zgłosiło się o ich rękę. Każdy z nich otrzymał jedną odpowiedź. „Wtedy zostaniemy waszemi żonami, gdy i wy przez 15 miesięcy podobnie żyć i pracować będziecie."

Czy ten miljonowy pan nie miał słuszności? Wszak największym błędem przy zawieraniu małżeństw jest dzisiaj najczęściej wzgląd na majątek, na stanowisko i na urodę ciała. A błąd ten mści się potem okrutnie na małżonkach. Niejeden mąż i niejedna żona musiała go okupić całem swojem szczęściem, a nieraz nawet i życiem.

Bo i cóż z bogactwa największego? Albo to nie znamy małżeństwa, którym chyba ptasiego mleka nie brakuje, a jednak szczęścia w ich domu nie widać. Znamy i takie co tylko dwoje rąk mają do pracy, co się ubogo pobrali, a zawsze im dobrze, szczęśliwi oni i weseli.

Na cóż zresztą zda się majątek w ręku marnotrawnego męża, lub pod opieką modnie wychowanej żony?

Żona wychowana modnie, co to tylko umie czytać książki i grać na fortepianie, a nie potrafi ugotować, uszyć, zacerować, to niezmiernie kosztowny sprzęt dla męża jakiegokolwiek stanowiska, ale przedewszystkiem dla rzemieślnika i robotnika. Nie ma on żony gospodyni, ale tylko towarzyszkę życia. Nieszczęśliwa rodzina, co taką matkę posiada, w jej rękach wszelki zarobek mężowski choćby i znaczny, stopnieje jako ten śnieg na słońcu i wkrótce bieda zaglądnie do takiego domu. Ale i stanowiska najwyższe nie zmniejszy bynajmniej krzyżów, którymi spodobało sie Bogu nawiedzić małżonków. Alboż to nie wyciska nawet królewska korona łez z oczów.

A uroda ciała? Jedna ciężka choroba, a piękność już znikła, jedno dłuższe zmartwienie, a twarz już zwiędła, jak ten kwiatuszek pod wpływem palących promieni słonecznych. Zresztą z wiekiem nie przybywa urody, zmarszczki twarz pokrywają, czoło ryją głębokie brózdy, a włos kruczy siwieje. Jeżeli więc uroda miała być podwaliną małżeńskiego szczęścia, to gdzież owo szczęście? Jakże prawdziwie mówi Duch św. „Omylna wdzięczność i marna piękność". (Przyp. 31, 30).

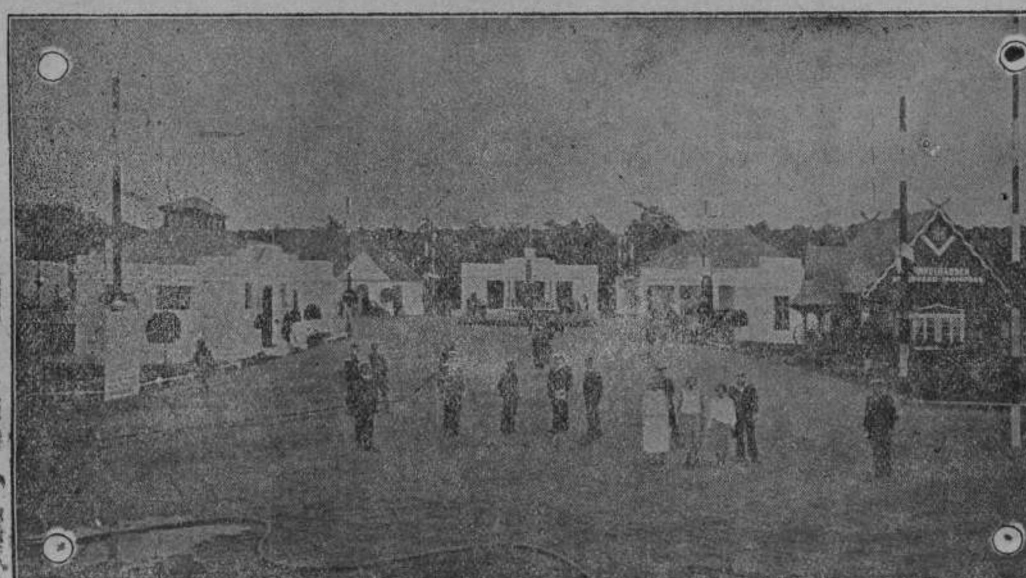
Jedna jest uroda, która nie przemija. Oto uroda duszy. Tą właśnie urodą starajcie się rodzice chrześcijańscy ozdobić córki i synów waszych, bo tej ani czas, ani choroba nie odejmie, bo to skarb, który nie przemija.

Dzieweczka odznaczająca się pobożnością, miłością dla rodziców, uprzejmością dla sąsiadów, która dwie tylko zna drogi w swojem życiu, jedną do kościoła, a drugą do pracy, taka wierzajcie mi, będzie niezawodnie najlepszą towarzyszką życia, wierną przyjaciółką, podporą w pracy i osłodą w cierpieniach „Niewiasta bojąca się Boga, ta będzie chwalona." (Przyp. 31. 30.)

Wszystkim naszym czytelnikom pragnącym wejść w związki małżeńskie, takiej żony życzę. Taka żona to skarb nieoceniony dla męża i dzieci, to najlepsze wiano.

Zakonnik i wieśniak.

W zeszłem stuleciu żył w Bawarji kapłan pobożny, O ciec Hofreuter który miał szczególny dar nawracania zatwardziałych grzeszników. Umiał tak łagodnie obchodzić się z ludźmi, że z dalekich stron przybywali grzesznicy, by spowiadać się u niego Raz stojąc przy oknie w swem mieszkaniu, ujrzał na ulicy wieśniaka, który już parę razy zamierzał wejść do domu, ale zawsze wahał się i cofał. Zrozumiał kapłan zaraz, o co chodzi, wybiegł więc przed dom i przemówił uprzejmie do wieśniaka. „Przyjacielu, zapewnie chcecie się spowiadać. Z przyjemnością służę wam. Proszę wejść". Wieśniaka zaraz opuściła nieśmiałość. Wszedł i wyznał szczerze swe grzechy. Może w sześć lat później zachorował ów wieśniak ciężko. Wezwał więc prob. swego i przyjął z rąk jego Sakramenta święte. Na końcu zaś rzekł: „Księże proboszczu! Skoro umrę, prosze przy sposobności pozdrowić odemnie Ojca Hofreutera. Proszę mu powiedzieć, że raz przed 6 laty spowiadałem się u niego i od tego czasu nie popełniłem ani jednego z dawniejszych ciężkich grzechów. Ojciec Hofreuter pewnie się tem ucieszy" —



Głowna ulica wystawy z pawilonami po bokach z fontanną i bramą wejściową w głębi. Obsługa skrapia ulice dla uniknięcia kurzu.

Czarny Rycerz

Opowiadanie historyczne z XI wieku

34)

przez

WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

Zwykle siedząc w swej izbie, w wygodnem krześle, skórą obitem i poduszkami wyłożonem, sam z sobą rozmawiał i rozpatrywał wszystkie złe i dobre strony swego przydługiego kijowskiego pobytu. Pobyt ten bowiem był już bardzo długi. Minęła wiosna, lato, jesień mijała i zima i drzewa pączki już puszczać poczęły, a król i rycerstwo nie myślało ruszać się z Kijowa. Zabawy, uczty, turnieje ciągle trwały, niby nieustanne zapusty.

— Bo i po co my się mamy stąd ruszać? pytał samego siebie Leszek — albo nam tu źle, czy co? Jeść dają, pić także, szanują człeka, jak wojewodę, czegóż chcieć więcej? Gród jest piękny, bogaty i z Carogrodu sprowadza mnóstwo rzeczy, których ani w Żembocinie, ani w Krakowie nawet nie znają. Miałem to ja kiedy takie krzesło miękkie, poduszkami wyłożone, w którem człek sobie jak król siedzi? Albo piłem takie wino, jak tu? albo kłaniają się bojarzyny, jak tu mi się kłaniają? ani słowa, dobrze tu jest, siedźmy sobie i nie myślmy o ruszaniu się ztąd. Król mądry jest, że tu siedzi i ja go za to chwalę.

— Albo ryby, mówił dalej — widziano to kiedy u nas takie ryby, jak tutaj? Palce lizać... a ptaszki? zamorskie ptaszki... hm! hm! a oliwki, a pomarańcze i inne owoce... śliczny kraj! żyć tu nie umierać. Człek nic nie robi i wszystkiego ma w bród, czego jeno dusza zapragnie.

Używał też widać Leszek wszystkiego, bo brzuch mu urósł tak, że już pasa nie miał, kto ryby starczył. Ogromny podbródek trząsł mu się jak galareta, a twarz duża, świecąca, czerwona, jak księżyc w pełni, wyrażała zupełne zadowolenie ze siebie i świata. Małe oczka zagłębiły się w tłuszczu i ledwie je widać było. Ubrany też był bogato, w szarafan ze złotogłowiu, podbity kunami, a na nogach miał wygodne buty czerwone z miękkiej skóry i delikatnem futerkiem wyłożone. Wyglądał nie na giermka, ale na wojewodę, conajmniej.

Otóż raz wysłał go dziedzic Żembociński, żeby jechał na drugi koniec miasta do pana Wiesława z Wiślicy, który także był w Kijowie z zaproszeniem na ucztę, jaką dziś wieczorem mia wydać.

— Hm! — mruczał Leszek, — że to też człek nigdy nie ma spokoju. Niby to z takiem poselstwem nie mógł lecieć bojarzyn. Ale dziedzic nie mają na nic względności. Siadaj Leszku, tłucz się na koniu na drugi koniec miasta, boś ty giermek. Cóż, że obiad wystygnie! zjesz później zimny sopor z ryby, który gotuje gospodyni. I jaka jeszcze ryba! słyszę, że taką tylko w morzu, co je Czarnem zowią, a które ma być stąd niedaleko, poławiają. Ano cóż robić, trzeba jechać!

Siadł na konia, który aż ugiął się pod ciężarem swego jeźdźca i wolno stępa, bo nie chciał się trząść niepotrzebnie, ruszył ze swem poselstwem, oglądając się dokoła, przypatrując się miastu, bogatym kramom kupców carogrodzkich i ormiańskich i spoglądając z pogardą na lud, brnący pieszo po błocie. Co chwila zatrzymywał się i poprawiał na siodle, które mu się twardem wydawało, choć wyłożone było kijowskim obyczajem miękkiemi skórzanemi poduszkami.

— Hm! — myślał sobie — jak przyjdzie jechać z powrotem do Żembocina, to nie wiem, jak ja zajadę na koniu. Człek rozleniwił się trochę, ani słowa. Nie dosiedzę na siodle przez tyle mil! Trzeba będzie od bojarzyna zabrać wózek, wyłożyć go sianem, poduszkami i pierzynami i tak sobie pojechać. Ale... po kiego licha my mamy wracać do Żembocina! między góry, lasy i głupich chłopów? Muszę ja to dziedziciowi kiedy przy sposobności wytłumaczyć.

Tak sobie gadając, wlokąc się nogą za nogą, rozglądając się dokoła, natknął się Leszek na jakiegoś człowieka, który wsparty na kiju, stał na środku ulicy i patrzył się ciekawie na kram carogrodzkiego kupca, pełny prześlicznej zbroi, hełmów i mieczy. Człowiek ów tak się zapatrzył na to nieznane sobie widowisko, że zapomniał o świecie całym i nie usunął się nadjeżdżającemu Leszkowi. Ten widząc go nieruszającego się, miał już zawołać, by zeszedł na bok, gdy nagle uderzył go ubiór, jakiego nikt nie nosił w Kijowie, a jaki tylko w okolicach Żembocina w Proszowskiem noszono. Człowiek ów bowiem miał na sobie długą, poza kolana sięgającą białą sukmanę, wyszywaną czerwonymi sznureczkami, z suką na plecach czerwoną, także suto wyszywaną i błyszczącemi blaszkami nabijaną. Przepasany był dużym skórzanym pasem, u którego zwieszały się dwa sznurki pełne świecących blaszek. Na głowie miał białą, wysoką czapkę proszowską, i nogi w łapciach lipowych. Że było gorąco, bo wiosna już na dobre się poczynała, człek ów zdjął kożuch i dźwigał go tylko na ręku. Przez plecy na sznurku konopnym wisiała łykowa kobiałka, starannie zamknięta.

— Co u licha! mruknął Leszek, przypatrując się owemu człowiekowi — to z naszych stron, od Proszowic i Żembocina. Co on tu robi?

Zbliżył się do zapatrzonego wciąż nieznajomego, zatrzymał konia, pochylił się i zawołał:

— Hej, a ty tu co robisz? skąd jesteś?

Człowiek żwawo się obrócił i spojrzał na Leszka.

— Bodajże cię, zawołał giermek — skotarz skotarz z nad Szreniawy!

— A tak... znacie mnie panie?

— Cóż ty tu robisz człeku?

— Któż wy jesteście panie? bo sobie nijak przypomnieć nie mogę! mówił skotarz, zdejmując czapkę, gdyż strój i postawa Leszka wydawała mu się conajmniej wojewody lub wielkiego dziedzica.

— Ktom jest? jakże to, nie poznajesz mnie? Leszek jestem, Leszek, giermek dziedzica Żembocińskiego.

— A to niechże Bogu Najwyższemu będzie chwała, żem was zdybał. Bo już od dwóch dni włóczę się po tym wielkim grodzie i nijak nie mogę się dopytać o dziedzica. Naród tu inny, jak u nas i nie gadatliwy.

A cóż ty chcesz od dziedzica? do niego przyszedłeś?

Do niego, z poselstwem.

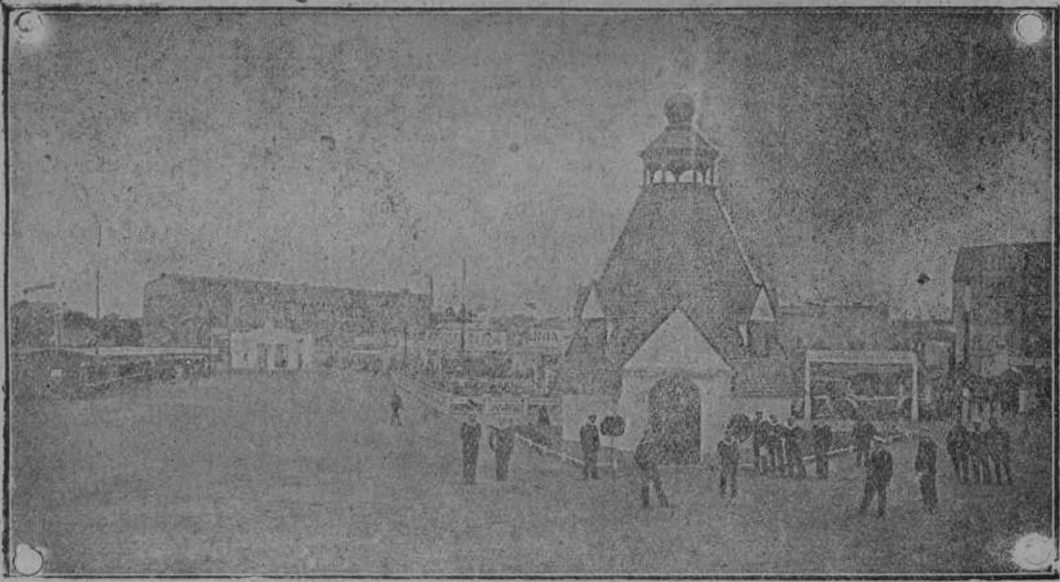
— Z poselstwem hm!.. osobliwy poseł!. a od kogoż z poselstwem?

— A od dziedziczki.

— Od dziedziczki? patrzajże!.. z kretesem zapomniałem żeśmy dziedziczkę zostawili... Fiu! fiu! fiu! a czegoż ona chce.

— O! długoby tu gadać, tam się u nas źle dzieje...

— No! cóż takiego? głód jest? psi kraj... jeno lasy i góry i wina cypryjskiego nie ma i ryb zamorskich i greckich owoców... no! no gadaj — głodni tam jesteście?



Część wystawy z działu rolnictwa z pięknym pawilonem mieszczącym zabytki rzemiosła pomorskiego na pierwszym planie. W głębi po prawej stronie, wystawa maszyn rolniczych, po lewej stoiska dla inwentarzy żywych.

— Ej, Bogu miłosiernemu dzięki, głodu to niema, jeno co gorszego jest.

— A cóż może być gorszego od głodu? to ci głupi naród dopiero...

Skotarz nic na to nie odrzekł, obejrzał się tylko dokoła a widząc, że ludzie stają i przypatrują się im obydwu i ich strojom, rzekł:

— Gdzież jest dziedzic?

— A niedaleko stąd, mieszka w pięknym dworcu, na złocistych misach jada, wino cypryjskie spija, soporki soczyste z ryb zamorskich połyka... Powiadam ci skotarzu, dobrze nam tu jest, jak w raju. Cieszę się, żeś przyszedł. Ze mną zamieszkasz, każę gospodyni dać drugą pierzynę, bo my tu na pierzynach z puchu gęsiego śpimy. Tu się człeku lepiej żyje, jak w Krakowie...

— O!.. ale u nas to źle się teraz żyje... prowadźcież mię panie giermku do dziedzica, bo mi pilno...

— Nie mogę teraz, nijak nie mogę. Bo to widzisz skotarzu, dziedzic ucztę dziś wydaje i ja jadę zapraszać rycerzy, wojewodów, kniaziów i króla. Powiadam ci, ja z królem to sobie tak gadam, jak z tobą. Tu inny kraj jest i całkiem inny obyczaj... (Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI

145 mil na godzinę.

Poczwórny aeroplan najnowszej konstrukcji, wiozący siedmiu pasażerów i ich bagaże w locie swym między Paryżem a Brukselą, zdobył rekord co do chyżości.

Aeroplan ten opuścił Paryż o godzinie 11 26 przed południem, a wylądował w Brukseli o godzinie 12. 37 po południu, co znaczy, że przeleciał przeszło 170 mil w godzinie i 11 minutach; leciał zatem przeciętnie 145 mil na godz.

Ten sam aeroplan opuścił Bruksele o godzinie 1. 56 po południu, a przybył do Amsterdam o godzinie 2.45; leciał niemal z tą samą chyżością, jak w drodze z Paryża do Brukseli, gdyż przeciętna chyżość wynosiła tu 142 mil na godzinę.

Służbę pilotów na tym aeroplanie pełnili lotnicy: Coupte i Landry. Awiatorowie ci zamierzają zorganizować pospieszne połączenie powietrzne między Paryżem a Amsterdamem z przystankiem w Brukseli.

Zora Agrah liczy dopiero 150 lat.

Dr. E. Dillon, lekarz londyński bawiąc w Konstantynopolu, odwiedził człowieka, o którym mówiono mu w hotelu, jako o najstarszym żyjącym na świecie. Dr. D. w jednem z pism lekarskich opisuje swoje odwiedziny u ciekawego starca.

Jest to Kurd, nazwiskiem Zora Agrah. Przedstawił na swoje metryki urodzenia i poświadczenia urzędowe, pozwalając wierzyć, że istotnie na świat przyszedł przed 150 laty. Mówił mi pomiędzy innymi.

— W Konstantynoplu mieszkam od 120 lat. Byłem zawsze zbyt ubogi, abym mógł jadać dużo mięsa, nie dbam o owoce, jarzyny, lecz za to lubię groch i fasolę, gdy są dobrze ugotowane. Rodzynki i świeże figi jadam przy każdej sposobności, również miód i surowy cukier. Nigdy nie używałem tytoniu, nie znam smaku alkoholu, ani kawy, herbatę mógłbym pić bez przerwy.

Agrah w ciągu 80 lat był posługaczem w kawiarni i używał przytem masę ruchu. Zawsze miał jedną tylko żonę, gdy kilkunastu laty ożenił się poraz piąty w życiu. Dzisiejsza jego żona liczy 65 lat życia. Autor zbadał starca i nie znalazł nic, co spowodowałoby rychły jego zgon. Przewodnicy stambulscy przyprowadzają do niego turystów, z których osobliwy starzec wyłącznie żyje.